

Ireneusz Kania i „Eranos”

Tomasz WIŚNIEWSKI

TOMASZ WIŚNIEWSKI

kulturoznawca, pisarz

W różnych wypowiedziach i wspomnieniach, które pojawiły się po śmierci Ireneusza Kani, najczęściej o zmarłym mówiono jako o „wybitnym tłumaczu”, „znawcy języków”, „poliglocie” czy „erudycie”. Gdybyśmy jednak czytali o człowieku, powiedzmy, z XVII wieku, który znał około trzydzieści języków wywodzących się z najróżniejszych grup etnicznych i tłumaczył z nich najważniejsze dzieła filozoficzne czy mistyczne, to oczywiste byłoby dla nas, by kogoś takiego nazwać „geniuszem”. Być może fakt, że Ireneusz Kania był człowiekiem współczesnym i skromnym, sprawiał, że nikt go tak nie nazywał. Podejrzewam jednak, że już za jakieś kilkadziesiąt lat powinno się to zmienić, a jego postać stanie się na wpół legendarna.

Kania nie tylko tłumaczył z francuskiego, włoskiego, hiszpańskiego, portugalskiego, rumuńskiego, rosyjskiego, angielskiego, niemieckiego i szwedzkiego najlepszą prozę, poezję czy dzieła współczesnej humanistyki, szczególnie religioznawstwa. Polscy czytelnicy zawdzięczają mu także dostęp do najważniejszych tekstów z zakresu światowej mistyki i literatury sakralnej. Przekładał z łaciny Mikołaja Kuzańczyka; z hebrajskiego – kabalistyczne *Opowieści Zoharu*; z greki – biografię Apoloniusza z Tiany; z sanskrytu – starożytną poezję Bhartryhariego; z palijskiego – dzieła starobuddyjskie, z oryginału – *Tybetańską Księgę Umarłych*. W wywiadzie udzielonym „Przekrojowi” szacował, że potrafi czytać w dwudziestu kilku językach, ale przyznał, że dokładnej liczby nie zna (i choć trudno w to uwierzyć, stwierdził też, że ma słaby talent do języków).

Same przekłady największych arcydzieł ludzkiej myśli to jedno; drugie, że wszystkie te teksty on od razu redagował, objaśniał, a gdy chodziło o dzieła współczesne, w przypisach poprawiał błędy rzeczowe autorów i autorek (choć nie miał komputera i nie używał Internetu). Tłumacząc *Greka Zorbę*, dostrzegł, że dzieło to rozpoczyna się od cytatów z *Suttanipata*, a kończy fragmentami z *Księgi Umarłych*. Kazandzakis polegał oczywiście na zachodnich przekładach, Kania zaś, przekładając jego powieść z języka greckiego, rozpoznał w niej starożytne fragmenty zapisane w języku palijskim i tybetańskim.

Przy bliższym wejrzeniu w dorobek Kani uzasadnione jest głębokie niedowierzanie: przypomina to reakcje na dzieło Georges'a Dumézila, który pisząc o mitologii Indoeuropejczyków, musiał wykazać się ogromnymi kompetencjami filologicznymi – analizował materiał porównawczy pochodzący z obszaru od Indii do Portugalii. Wielu badaczy podchodziło do tego sceptycznie; uważano, że to zwyczajnie niemożliwe. Mircea Eliade komentował ten sceptycyzm, twierdząc, że ci krytycy posługują się własną miarą. Nie wiem (choć bardzo chciałbym wiedzieć), czy Eliade znał Kanię, ale gdyby tak było, powinien powołać się na Polaka jako przykład niewiarygodnych możliwości ludzkiego umysłu.

Jeśli chodzi o same przekłady naszego Mistrza, nigdy nie spotkałem się z wątpliwościami dotyczącymi ich jakości, przeciwnie, nie tylko uzyskiwały one aprobatę specjalistów z danej dziedziny, ale również były cenione ze względu na ich wartości literackie, nierzadko uznawano je za „kongenialne”.

Kania nie tłumaczył jednak przypadkowych tytułów; co więcej, prawie nigdy nie podejmował się tego zadania na zamówienie, unikając dzieł, którymi nie był zainteresowany. Książki sygnowane jego nazwiskiem zawsze stanowiły zapowiedź duchowej podróży, ujawnienie zapomnianych doświadczeń i mitologii, wejście w świat niewiarygodnych badaczy i badaczek. Dla wielu osób w kraju nie było nic bardziej elektryzującego niż pojawienie się w zapowiedziach jakiegoś wydawnictwa, przy jakimś zupełnie nieznanym tytule, informacji: „w tłumaczeniu Ireneusza Kani”. Ja się tym ekscytowałem i widziałem, jak robili to inni (tak było jeszcze przed śmiercią tego wybitnego poliglota, gdy w tym samym czasie opublikowano *Dhammapadam*, *Suttanipata* i Constantina Noicę w jego przekładzie). Ludzie wręcz poznawali się po kolekcjonowaniu tych książek. Mam kilka takich znajomości. Przez ostatnie kilkanaście lat spotykałem ludzi rozrzuconych po całym kraju, tworzących rodzaj grupy wtajemniczonych, dla których te książki zawsze były wielkim wydarzeniem i symbolem.

Jednakże ograniczyć twórczość Ireneusza Kani do pracy translatorskiej byłoby sporym błędem. Dwa główne zbiory jego autorskich tekstów, *Ścieżka nocy* i *Dług metafizyczny*, wywierają niezapomniane wrażenie. To, jakie



emocje obudził we mnie tekst o kabalistycznym odczytaniu Nowego Testamentu, mógłbym jedynie porównać do pierwszego kontaktu z opowiadania-
mi Jorge Luisa Borgesa.

Niezwykle erudycyjna, posiadająca ogromny ładunek intelektualny i znakomita stylistycznie eseistyka Kani nie tylko porusza mnogość fascynujących tematów, ale rozpracowuje je z różnych perspektyw: z punktu widzenia antropologii, filozofii, czasem współczesnej nauki, ale przede wszystkim – co chcę podkreślić – historii religii.

Z tej pracy translatorskiej, eseistyki, wywiadów, okolicznościowych tekstów jasno wynika, że ta eklektyczna całość była odbiciem filozoficznych i egzystencjalnych zainteresowań Kani. Selekcja samych przekładów jest znacząca, a pisarstwo Kani tylko ugruntowuje to przeświadczenie – wszystko to odwołuje się do pewnej dwudziestowiecznej formacji intelektualnej. Tutaj dochodzę do mojej tezy: Ireneusz Kania był spóźnionym, polskim reprezentantem w kole dyskusyjnym „Eranosa”.

* * *

W latach 30. XX wieku Olga Fröbe-Kapteyn w swojej willi w Asconie rozpoczęła organizację letnich konferencji. Choć początkowo tematyka i charakter tych spotkań koncentrowały się wokół teozofii, wkrótce dyskusje uzyskały bardziej akademicki charakter. Samą nazwę tej grupy miał zasugerować klasyk teologii i religioznawstwa, Rudolf Otto. Kluczową postacią „Eranosa” stał się jednak Carl Gustav Jung, którego nazywano tam nawet „mistrzem”. Konferencje „Eranosa” skupiały wokół siebie sympatyków psychologii głębi, reprezentujących różne dyscypliny naukowe; w późniejszym czasie byli to również wybitni przedstawiciele nauk ścisłych, tacy jak Erwin Schrödinger czy Adolf Portmann.

Zasadniczo jednak spotkania te gromadziły najwybitniejszych filozofów i historyków religii XX wieku. Wśród prelegentów i dyskutantów znajdziemy nazwiska takie jak: Mircea Eliade, Gershom Scholem, Karl Kerényi, Henry Corbin, Gerardus van der Leeuw, Joseph Campbell, Daisetz T. Suzuki, Walter F. Otto czy Paul Tillich.

Fenomen „Eranosa” starano się rozmaicie opisywać. Dla jednych była to grupa akademickich „outsiderów”, dla innych „religijność” w zakamufłowanej postaci powracająca do myśli akademickiej. Niektórzy, dostrzegając tę religijność, nie oceniali jej krytycznie – w tej perspektywie był to ruch, który zapełniał duchową pustkę w dwudziestowiecznej postpozytywistycznej humanistyce. Twierdzono nawet, że to elitarny klub ezoteryczny. Moja interpretacja jest prosta: „Eranos” wyciągał wnioski ze zwykłej obserwacji,



że człowiek od paleolitu był istotą religijną. Nie odrzucał, jak sugerowano, tradycji oświeceniowego racjonalizmu; negował jedynie perspektywę ignorującą ogrom danych historycznych i etnograficznych, które jasno ukazują fundamentalną rolę mitu oraz symbolu w historii *homo sapiens*. Choć uczestnicy reprezentowali różne dyscypliny wiedzy, w wyraźny sposób łączyły ich z jednej strony poważne traktowanie mitologii i metafizyki, a z drugiej strony krytyczny, intelektualny charakter i nieulegające wątpliwości wielkie osiągnięcia akademickie.

Idąc tropem wyznaczonym przez psychologię głębi, dyskutanci „Eranosa” przyglądali się wszelkim znaczącym tworum wyobraźni, strukturom symbolicznym ukrytym w literaturze, rytuałach czy snach. Być może dochodziły tu do głosu fascynacje czy mistycyzujące dyspozycje i zainteresowania uczestników; nie klóciło się to jednak z niezwykle wysokim poziomem dyskusji.

Gdy przyjrzymy się liście uczestników spotkań, które w oryginalnej postaci zakończyły się pod koniec lat 80. XX wieku, nie znajdziemy na niej Ireneusza Kani, który, tak jak obecni tam giganci dwudziestowiecznej humanistyki, łączył monstrialne odczytanie i wielką inteligencję z głębokim wglądem metafizycznym. Dla każdego, kto orientuje się w tłumaczeniach i tekstach pisanych przez Polaka, wymienione wyżej nazwiska brzmią bardzo znajomo. Kania był wybitnym znawcą i popularyzatorem dzieł Eliadego; przetłumaczył kilka książek Kerényiego. W jego eseistyce i wypowiedziach pojawiał się Jung, Scholem czy Campbell, a ponadto rozważał on wszelkie poruszane przez siebie kwestie filozoficzne czy historyczne w perspektywie „Eranosa”, wypatrując ukrytych mitologii, archetypowych struktur i symboliki. Gdy zaś w wywiadach opowiadał o swoim dzieciństwie, mówił przykładowo o rozmaitych „próbach inicjacyjnych”, czyli zachowywał się jak prawdziwy eliadysta.

Dodajmy w tym miejscu, że Kania był redaktorem i pomysłodawcą serii książek Wydawnictwa „Znak” pod znaczącym tytułem „Mity. Symbole. Obrazy”. W jej ramach ukazały się: *Potęga mitu, Przesłanie symboli w mitach, kulturach i religiach, Symbolika świątyni chrześcijańskiej*. Dzieła te nie tylko podejmowały problematykę religioznawczą czy antropologiczną, ale również robiły to w określony sposób – za pomocą najlepszych możliwych zachodnich narzędzi poznawczych starały się opisać transcendencję.

* * *

Każdy z dyskutantów „Eranosa” reprezentował w nim dziedzinę, w której się specjalizował. Kontynuując tę fantazję o Ireneuszu Kani jako uczestniku letnich spotkań w słynnej willi w Asconie, można zastanowić się, po jaką tematykę sięgałby podczas swoich wystąpień. W zbiorach jego tekstów



i tłumaczonych dziełach pojawiają się pewne wątki stałe: buddyzm, kabała, „pesymizm”, literatura, język.

W ostatnich latach stwierdził, że trwający kilkadziesiąt lat okres fascynacji kulturą żydowską i kabałą się zakończył – miał dowiedzieć się wszystkiego, co go w tych zjawiskach interesowało. W podobny sposób mówił o końcu rozdziału tybetologicznego, który trwał u niego przez czterdzieści lat.

Kania nie pozostawiał wątpliwości, że najważniejszą ścieżką duchową był dla niego buddyzm, ten najstarszy. Twierdził, że zawsze rozpoczyna dzień od lektur starobuddyjskich czytanych w języku palijskim czy w sanskrycie (co ciekawe, ponoć nie medytował; jego „praktyką” miał być sport). Tłumaczył starożytne teksty i wybitne opracowania buddologiczne, a w swoich tekstach, wywiadach czy rozmowach z Czesławem Miłoszem wprost określał buddyzm jako znajdujący się o kilka poziomów wyżej niż inne religie. Nurt ten był mu najbliższy poprzez trafność twierdzeń psychologicznych i dzięki empirycznemu charakterowi, ponadto najlepiej ujawnił naturę człowieka i rzeczywistości.

Wydaje się, że buddyzm był bliski Kani również poprzez nacisk, jaki kładł na problem cierpienia. Polak wielokrotnie dawał wyraz swojemu metafizycznemu pesymizmowi (przypomnijmy, że był znawcą i tłumaczem Emila Ciorana). Nie sympatyzował z mistykami i szkołami duchowymi, które bezkrytycznie chwaliły stworzenie: z panteistycznymi wizjami i ekstatycznymi, euforycznymi stanami czy zachwytem nad pięknem natury, człowieka bądź nieba. Bliżej mu było do gnostyków, którzy dostrzegali w bycie mrok, błąd, pęknięcia, tragizm wszelkiego istnienia i życia, które wymaga nieustannej ofiary z samego siebie. Z Czesławem Miłoszem z niejakim zdziwieniem rozpatrywał przypadek Emanuela Swedenborga, który zdawał się ignorować problem zła. Obok pesymizmu metafizycznego Kania zdawał się również sympatyzować z pesymizmem społecznym, wynikającym z jednej strony z zaniku zainteresowań religijnych i metafizycznych (co było również wątkiem charakterystycznym dla „Eranosa”), jak i globalnymi procesami, które zdawały mu się nie do zatrzymania, jak choćby kryzys klimatyczny (który również w stylu „Eranosa” interpretował jako skutek biblijnego monoteizmu).

* * *

Tylko raz w życiu spotkałem Ireneusza Kanię – na bankiecie w ramach Festiwalu Conrada. Elegancki, drobny, ale wysportowany pan, który energicznie i samotnie przemieszczał się między stołami z przekąskami. Powiedziałem do mojej narzeczonej z kilkanaście razy szeptem i niejakim drzeniem, że przecież: „To jest Ireneusz Kania!”. Zdumiewało mnie, że nikt do niego nie



podchodził, żeby zapytać o jakiś starożytny mit, poznać jakiś zapomniany obrzęd indyjski albo zwyczajnie dowiedzieć się, co – według Tybetańczyków – dzieje się z duszą kilka dni po śmierci.

Długo zastanawiałem się, jak podejść i w miarę rozsądnie rozpocząć rozmowę. Nic jednak nie wymyśliłem. W końcu uznałem, że będą inne, lepsze okazje. Niestety, nie było.

Kilka lat później napisałem dla „Przekroju” krótką recenzję *Długu metafizycznego*. Przemysław Skrzyński, nasz wspólny znajomy, przeczytał ją Kani telefonicznie; w konsekwencji ten wybitny tłumacz kazał mnie pozdrowić. Przyznam, że chyba nigdy wcześniej ani później nie cieszyły mnie tak zwykłe pozdrowienia.

